



ANTOLOGIA AUTORÓW WYDAWNICTWA SQN

# FANTASTYCZNIE NIEOBLICZALNI

JAKUB ĆWIEK, KAROLINA FEDYK, PIOTR GÓRSKI, ANETA JADOWSKA, MARIA KRASOWSKA, JACEK LUKAWSKI,  
MARTA MALINOWSKA, JAKUB MAŁECKI, TOMASZ MARCHEWKA, ALEKSANDRA RADLAK, MAGDALENA ŚWIERCZEK-GRYBOS

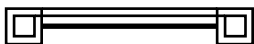
**SQN**  
imaginatio

ANTOLOGIA AUTORÓW WYDAWNICTWA SQN

# FANTASTYCZNIE NIEOBLICZALNI



Jakub Ćwiek  
Karolina Fedyk  
Piotr Górski  
Aneta Jadowska  
Maria Krasowska  
Jacek Łukawski  
Marta Malinowska  
Jakub Małecki  
Tomasz Marchewka  
Aleksandra Radlak  
Magdalena Świerczek-Gryboś



KRAKÓW 2018

## Fantastycznie nieobliczalni. Antologia opowiadań autorów SQN. Tom 1

Copyright © by Jakub Ćwiek; Karolina Fedyk; Piotr Górski; Aneta Jadowska;  
Maria Krasowska; Jacek Łukawski; Marta Malinowska; Jakub Małecki;  
Tomasz Marchewka; Aleksandra Radlak; Magdalena Świerczek-Gryboś 2018  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2018

Redakcja – Paweł Wielopolski, Michał Cetnarowski (Off the record)

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okladka – Paweł Szczepanik

Grafika na okładce – intuier / Fotolia.com

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2018

ISBN:


pdf: 978-83-8129-333-4

mobi: 978-83-8129-331-0

epub: 978-83-8129-332-7


wsqn.pl 


WydawnictwoSQN 

wydawnictwosqn 

SQNPublishing 

WydawnictwoSQN 

E-booki 

Zrównoważona  
gospodarka leśna 

Tempori serviendum est  397

MICHAŁ CETNAROWSKI

## WSTĘP

Jeszcze do wczoraj stanowiły sól fantastyki. Każdy z czytelników miał swoje żelazne *top ten*, w którym znajdowali się nie tylko autorzy ulubieni, ale często także celebryci jednego tytułu, meteory, które zapłonęły na niebie jedną historią i poszerzyły czytelniczy horyzont, żeby potem zrobić miejsce dla innych. Jak bowiem rzadko kiedy tu liczył się sam tekst i siła jego rażenia, liczona w megatonach wrażeń na przeczytany akapit; „nazwisko”, „gatunek”, „moda” pełniły rolę służebną i wcale nie kluczową. Tu od początku liczyła się literatura.

Dlatego opowiadania, bo o nich mowa, pisali bardzo często autorzy-amatorzy, członkowie fandomu bez wsparcia marketingowych boosterów popularności, tak istotnych na rynku powieści – często udowadniając starym wyjadaczom, że nowy szeryf pojawił się w mieście. To zresztą nie przypadek, że za krótkie fantastyczne formy biorą się najczęściej autorzy młodzi, na początku swojej literackiej drogi – nie tylko „złaknieni sławy”,

ale po prostu najbardziej odważni, najbardziej bezczelni, wciąż mający supermoc niezauważania upływającego czasu; kipiący pomysłami, które żal zamykać w klatce tysięcystronicowej sagi.

Czy dziś ta pionierska, prowokująca, wywrotowa rola fantastycznych opowiadań uległa zmianie?

\*

O tym, jakie perełki można znaleźć wśród krótkich form literackich, przekona się każdy, kto na szybko spróbuje sporządzić katalog najlepszych i najważniejszych opowiadań, jakie kiedykolwiek czytał. Tytuły bowiem szybko mnożą się i pączkują, jedne historie wyskakują przed inne, żeby zaraz posunąć się na podium i zrobić miejsce kolejnym opowieściom, które nas sponiewierały. Tak powstałe „listy subiektywnych arcydzieł”, zapewne wyraźniej niż w przypadku powieści, będą jeszcze bardziej zróżnicowane, a rozstrzał tytułów szerszy, bo większa jest pula startowa, z której dobieramy teksty.

Niemniej z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że jeśli ktoś zaczynał przygodę z fantastyką w latach 90. XX wieku i na początku nowego tysiąclecia, na jego liście będą przewijały się nazwiska Lema, Sapkowskiego, Dukaja, Brzezińskiej... Sam na pewno musiałbym umieścić tam *IACTE* i *Szkołę Dukaja* (i tysiąc jego innych tekstów), *Trochę poświęcenia* AS-a, które najczęściej walczy w podobnych zestawieniach z *Mniejszym złem* (a po latach dodałbym *Wieczny ogień*); na pewno musiałby się tam znaleźć któryś z Pirxów Lema, może

minimalistyczny, horrorowo-klaustrofobiczny *Patrol*, może *Albatros*, *Wypadek* albo *Odruch warunkowy* (a najlepiej wszystkie); do tego *Pięknie jest w dolinie* Ziemięwicz, *Krew i deszcz* Żerdzińskiego, *Wody głębokie jak niebo* Brzezińskiej, *Spokojne, słoneczne miejsce łągowe* Huberatha, którym rażno sekundowałyby autorzy młodsi stażem – Kuba Nowak z *Karnawalem*, Czarek Zbierchowski i *Pięćdziesiąt przypadków Quentina*, Robert M. Wegner ze *Szkarłatem na płaszczu*... A to dopiero początek. Wspominałem, że piekielnie trudno stworzyć taką „krótką listę”? Albo bardzo łatwo – tylko że wtedy szybko zamienia się w opasły katalog.

A to tylko autorzy polscy – z zagraniczną pierwszą ligą sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana. Harlan Ellison, Ray Bradbury, Ursula LeGuin, Stephen King, Ted Chiang, Kelly Link, J.L. Borges, Philip. K. Dick, Angela Carter... Nazwiska wirują jak w kalejdoskopie, a przecież nie ma wśród nich jeszcze głównonurtowych mistrzów krótkiej formy, takich jak Hemingway, Munro czy Carver. Podobny zawrót głowy świadczy o jednym: wyróżniających się tekstów są tu rzeczywiście dziesiątki, jeśli nie setki, a o każdym dałoby się długo mówić, długo się o niego spierać, długo i bezskutecznie wybierać „ten jedyny”. Lista wydaje się wprawdzie skończona, ale jednak nieograniczona, a lektura każdego z opowiadań, które by się na niej znalazły, od jednego strzału wprawia w ruch całe barwne, pociągające, straszne, rozpadające się lub dopiero powstające literackie światy.

Trudno o bardziej wysokoenergetyczne paliwo dla wyobraźni.

Co dzisiaj zostało z estymy, którą przez lata cieszyły się fantastyczne opowiadania?

Liczyby, które stoją za wydawaniem książek, zdają się w tej sprawie bezwzględne: antologie sprzedają się słabiej niż powieści; powieści samodzielne, które opowiadają skończoną historię, przegrywają z cyklami; spośród cykli najlepiej sprawdzają się te, które operują najbardziej rozpoznawalnymi motywami, wątkami, sceneriami. Niewidzialna ręka rynku potrafi bezwzględnie ścisnąć za... no, sami wiecie, co potrafi. Debiut nieznanego autora, który próbuje dziś swoich sił ze zbiorem opowiadań, wygląda w tej sytuacji jak skok z samolotu bez spadochronu, za to z parasolką i tomem z przygodami Mary Poppins pod pachą. Co nie znaczy, że podobne rzeczy się nie zdarzają; rzecz w tym, że taka inwestycja zwraca się wydawcy często przez lata.

Sytuacji nie polepsza kryzys na rynku czasopism, naturalnej platformy do prezentacji opowiadań – liczba podobnych magazynów nie tylko w Polsce drastycznie spadła w ostatnich latach, a działalność autorów i redakcji przeniosła się do sieci. To jednak, co sprawdza się w publicystyce – w której cyfrowe medium pozwala szybciej reagować na nowości i wydarzenia – niekoniecznie musi pomagać prozie. Owszem, opowiadań ukazuje się dziś multum, ale okno startowe, kiedy mają okazję powalczyć o uwagę czytelnika, zamyka się w ciągu kilku godzin, w najlepszym przypadku dni, kiedy pojawią się w sieci; po tym czasie tekst znika z radaru, przykryty kolejną

warstwą następnych opowiadań, i po schrödingersku wisi w sieci zarówno ogólnodostępny, jak i na wieczność serwera ukryty pod linkiem, w który nikt nie klika. Jest zatem aż tak źle?

A gdzie tam – wydaje się, że z roku na rok obserwujemy partyzancki, ale coraz wyraźniejszy renesans opowiadań.

\*

Dyskusje dotyczące aktualnej roli opowiadań coraz częściej pojawiają się w spisie paneli ogólnopolskich konwentów. Bombardowani zalewem nowych autorów, tytułów i propozycji czytelnicy sami przypomnieli sobie o krótkich formach prozatorskich, traktując je jako swoisty tester przed sięgnięciem po powieściową realizację talentu danego twórcy. Autorzy – pobudzeni tym quasi-reklamowym wymiarem przedsięwzięcia – też się przebudzili i na powrót spojrzeli łaskawiej w stronę opowiadań; to, co przez chwilę wydawało się „nieekonomiczną stratą czasu” (który można było wykorzystać na napisanie proporcjonalnego fragmentu powieści), okazuje się cenną inwestycją w rozpoznawalność na rynku i skuteczną próbą dotarcia do nowych odbiorców. O takich przyziemnych sprawach jak ćwiczenie pióra, stymulowanie gruczołu z pomysłami i przewietrzanie twórczego emploi nie wspominając.

Wszystkie te cechy legły także u podstaw tego, że powstałi *Fantastycznie nieobliczalni*.



Antologię tworzy jednaście tekstów. Łączy je to, że w ten sposób prezentowani są autorzy, których powieści wydawało albo w niedługim czasie wyda wydawnictwo SQN. Starzy wyjadacze spotykają się tutaj z debiutantami i prawie-debiutantami (lub, jak w przypadku Piotra Górskiego – znanego już w latach 90. zeszłego wieku z emocjonalnych, bezpardonowych opowiadań dark future, po których zamilkł na dwie dekady – „debiutantami po przejściach”), a rozstrzał tematyczny i scenograficzny prezentowanych historii pokazuje przekrój tego, jak wygląda współczesna fantastyka.

Marta Malinowska w *Nożach* – nietypowym fantasy – pokazuje życie objazdowej trupy cyrkowej, która przemierza targany konfliktami neverland, szerzej opisany w jej debiutanckiej powieści *Iluzja*, która wkrótce ukaże się w druku. *Złość bogów* wspomnianego już Górskiego to także fantasy, i to jaka. W tekście, którego rozwinięciem jest powieściowa *Reguła zakonu*, autor zabiera czytelnika do bardzo oryginalnego i nie mniej ponurego świata fantasy i udowadnia, że w tej, zdawałoby się, najbardziej ogranej konwencji wciąż można powiedzieć coś świeżego i przejmującego. To chyba jedno z najbardziej sugestywnych opowiadań w tej antologii i jeden z moich faworytów do podium. *Kołysanki ziem jałowych* Karoliny Fedyk to też dark fantasy, choć już nie tak ponure, w którym magiczny świat zostaje przełamany postapokaliptycznym sznytem.

Jakub Małecki w kapitalnych *Utraconych światach Niño Sandovala* opisuje dramat bohatera, do którego życia przenikają duchy z filipińskich wierzeń. *Szalone święta Danny'ego Moona* Marii Kraskowskiej to prequel ze świata *Bandy niematerialnych szaleńców* i propozycja skierowana głównie do czytelnika young adult. Aneta Jadowska w klimatycznym horrorze *Ostatni lot Phenix* przypomina, że cyrki mają w sobie coś diabolicznego, i to niezależnie od tego, jak traktuje się występujące tam zwierzęta. (Sama koncepcja, że facet wymalowany upiornym makijażem kłowna może kogoś rozbawić, pochodzi doprawdy nie z tego świata). Jakub Ćwiek prezentuje kingowską z ducha historię zawodnika MMA, w której przekonuje się, że zbijanie wagi przed walką to dosłownie nieziemsko poważna sprawa. Z fantastyką z przy-mrużeniem oka pogrywa także Jacek Łukawski, znany dotychczas z serii *Kraina Martwej Ziemi*. Jego *Nietypowe sprawy Dariusza Omena* to tekst, w którym klimat znany z przygód Jakuba Wędrowycza miesza się z historią rodem z *Facetów w czerni* – i zapowiedź nowej książki, utrzymanej w podobnej tonacji.

*Krew i błoto* Aleksandry Radlak znów zaprasza do świata debiutanckiej powieści: historia elfickich terrorystów walczących w zniszczonym wojną świecie będzie miała swoje uzupełnienie w *Cynobrowych polach*. *Nie-możliwe* Magdaleny Świerczek-Gryboś to również spin-off – tym razem z *Openmindera*, naładowanego pomysłami SF, w którym przyszłość po globalnym konflikcie determinuje chemiczna kastracja popędów na kształt Lemowej betryzacji. Na zakończenie Tomek Marchewka

wykonuje zgrabną woltę i odchodzi od steampunkującego świata znanego z *Wszyscy patrzyli, nikt nie widział*, w *Off the Record* opisując walki mechów w cyberpunkowym świecie spleenu i high-techu. Scenografia nie dziwi, jeśli uświadomimy sobie, że autor jest jednym ze scenarzystów piszących *Cyberpunka 2077* dla CD PROJEKT RED.

Sporo tego? Pomieszenie z poplątaniem? Jedne teksty podejść Wam mniej, a inne bardziej – i nie da się pewnie sporządzić dwóch takich samych protokołów odczytania. No jasne.

Dlatego właśnie antologie są takie fajne.

\*

Opowiadania od zawsze były dla autorów poligonem: warsztatu, talentu, wyobraźni. Biedni czytelnicy – i pisarze – tej z epok, która zapomni tę prostą prawdę.

Michał Cetnarowski,  
redaktor „Nowej Fantastyki” i Storytel.pl,  
pisarz uhonorowany nagrodą im. Janusza A. Zajdla



## MARTA MALINOWSKA



Z wykształcenia jest antropolożką kultury. Debiutowała w 2006 roku opowiadaniem *Życzenia* w „Czasie Fantastyki”, od tamtej pory publikuje dość regularnie. Kilka z jej opowiadań (*Jad*, „Nowa Fantastyka” 10/2012; *Noże*, „Nowa Fantastyka” 2/2016 i *Egzaminy*, „Nowa Fantastyka” 9/2018), dzieje się w uniwersum *Iluzji*, powieści, która niedługo zostanie wydana nakładem SQN Imaginatio.

NOŽE

Płomienie strzeliły w górę w czterech rogach sceny, wydobywając z ciemności dwie sylwetki.

Skóra i miedź, lśniące oczy, nieruchome, napięte jak struny i czarne jak heban ciała.

Młoda kobieta w stroju, który więcej odkrywał, niż zakrywał – ale też było co odkrywać – i półnagi mężczyzna. Ciemne, kędzierzawe włosy związali w wysokie kity. Dziewczyna uzbrojona była w dwa długie sztylety, jej przeciwnik w miecz.

Stali bez ruchu, póki ogień nie przygasł, a kiedy było widać już tylko zarysy postaci, wyszarpnęli broń z pochew i rzucili się na siebie.

W powietrze wzbiła się chmura piachu i trocin. Mężczyzna wygiął się do tyłu, o włos unikając ciosu młodej wojowniczką, wyprostował gwałtownie i zamachnął się mieczem, ale dziewczyna zgarbiła się błyskawicznie, umykając przed ostrzem. Tylko na to czekał. Wskoczył jej na plecy, wybił się, zawirował w powietrzu, wylądował lekko, przebiegł kilka kroków i znów skoczył, tym razem po to, by wczepić się w wysoki podest. Kilka uderzeń serca później był na jego szczycie, ale wtedy dziewczyna leciała już w jego stronę, uczepiona jednej ze zwisających

z rusztowania lin, używanych wcześniej przez akrobatów. Wojownik chciał przeciąć sznur, ale jego przeciwniczka szarpnęła się tak, że nie sięgnął, choć nie mogła widzieć, co zamierza mężczyzna.

Obserwujący to wszystko zza kulis Ief, dyrektor cyrku, skrzywił się – to nie było to.

Mogliby równie dobrze nie mieć broni, huścić się na trapezach i chodzić po linie, wszyscy byliby szczęśliwi. Problem polegał na tym, że Vera i Paz nie byli akrobatami, byli siffango, legendarnymi artystami walki i w związku z tym nikt nie był szczęśliwy – ani oni, ani publiczność, ani sam Ief. Mężczyzna marzył w tym momencie tylko o tym, by ryknąć „Stać”, wejść na scenę, objechać Verę od góry do dołu, a potem strzelić jej w pusty łeb – najlepiej więcej niż raz. Po takiej krytyce dziewczyna zawsze się budziła, wtedy były emocje, było niebezpieczeństwo i była walka! I to jaka!

Na pewno bardziej emocjonująca niż to, co działo się teraz na arenie. Słuchając skąpych oklasków, Ief po raz kolejny pomyślał ponuro, że jeśli nic się nie zmieni, to nie dotrwią do następnego sezonu.

Siffango zakończyli pojedynek, czy też, jak nazwałby to Ief, „żałosną farsę”, akrobaci znów splunęli ogniem. Koniec. Czas iść się kłaniać. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, energicznym krokiem wyszedł na arenę i schwycił Verę za nadgarstek tak mocno, jakby chciał go zmiążdżyć. Zerknęła na niego wściekle, ale dopóki nie zniknęli widowni z oczu, nic nie mogła zrobić. Za kulisami pozwolił jej się wyszarpnąć – była tak zaskoczona,



że straciła równowagę, co wykorzystał, wypychając ją na obstawiony wozami dziedziniec za namiotem.

– Co to było?! – rzucił.

Oczy dziewczyny zwężyły się w szparki. Zmierzający do wozu Paz obdarzył ich w przelocie markotnym spojrzeniem.

– O co ci znowu chodzi?!

Trzepnął ją w pusty łeb, dokładnie tak, jak zamierzał. Wiedziała przecież. Wiedział, że wiedziała.

Dziewczyna zacisnęła pięści, ledwie powstrzymując się, by mu nie oddać.

– Co, źle było? Jak było źle, to mogłeś powiedzieć wcześniej, po to masz próby! Było wszystko, co miało być, tak?!

– Ty naprawdę nie myślisz. Nie potrafisz pojąć, co się do ciebie mówi.

– Nic nie spieprzyłam, Ief. Jeśli coś ci się nie podobało, to twój problem! – Odwróciła się gwałtownie. – Idę się przebrać.

Mężczyzna złapał ją za ramię i obrócił w swoją stronę.

– Spieprzyłaś wszystko, Vera. I to jest twój problem, bo ci za to płacę, mój problem, bo ja na tobie zarabiam. I problem całego cholernego zespołu, bo teraz ty robisz najważniejszy numer.

Strząsnęła z ramienia jego dłoń.

– Daj mi spokój!

– Dam ci spokój, gówniaro. Zobaczysz, jak dam ci spokój, niech tylko znajdę inną siffango.

Szcęki dziewczyny zadrgały.

– No to będziesz miał chyba problem, nie? O, Aga! – Odwróciła się do przechodzącej nieopodal jasnoskórej akrobatki. – Aga, słuchaj, powiedz mi, gdzie znajdziemy inną siff...

Kobieta przewróciła oczami.

– Znowu? Nie mieszajcie mnie do tego, naprawdę – powiedziała znudzonym tonem, próbując wyminąć kłócącą się dwójkę.

Vera chwyciła ją za łokieć.

– Och, będę mieszać. Będę mieszać wszystkich, bo Ief właśnie powiedział mi, że to jest problem całego cholernego zespołu!

Akrobatka westchnęła.

– Dobrze – stwierdziła, wyrывая rękę z chwytu dziewczyny. – Masz rację, nie znajdziemy nowej siffango, bo nikt nie zechce opuścić swojego zespołu, twoja siostra jest w ciąży, rodzice nie dadzą rady występować tak jak kiedyś, a Paz sam nie zrobi numeru. Z tego wniosek, szefie, że musimy radzić sobie z Verą. A z tego wniosek, Vera, że najpewniej za dwa miesiące będziemy wszyscy zdychać z głodu. Byłaś dzisiaj fatalna, lepiej byłoby, gdybyś została przy akrobatyce. Dobranoc. – Uśmiechnęła się uprzejmie i ruszyła w swoją stronę, niezatrzymywana przez skamieniałą Verę.

– Dobranoc, Aga – rzucił za nią Ief i przeniósł wzrok na młodą siffango. – Dobranoc, Vera.

Dziewczyna bez słowa odwróciła się do niego plecami i odbiegła.

\*

Poczuła się nieco lepiej, kiedy wypadła spomiędzy wozów, a jeszcze lepiej, gdy znalazła się między drzewami, w kojącej ciemności przetykanej plamami księżycowego światła, tak różnego od tego irytującego, migotliwego, żółtego blasku ognia. Powietrze było chłodne – wiał wiatr znad jeziora – ale tym razem to nie wystarczyło, żeby ją uspokoić. Wciąż gotowała się z wściekłości, złość pulsowała w piersiach i w płucach, w mięśniach, w zębach, kościach. Wszystko to chciało coś zrobić, szarpać, gryźć, kopać, krzyczeć, więc krzyknęła. Raz, drugi. Uderzyła pięścią w pień pobliskiego drzewa, potem znowu i znowu, ale to było za mało.

Popędziła przed siebie. Nie zwolniła, kiedy wreszcie wypadła spomiędzy drzew, nie zwolniła, gdy ziemia już już miała urwać się jej pod stopami, na samej krawędzi klifu, po prostu wybiła się z całej siły i – wrzeszcząc – pomknęła głową w dół, prosto w taflę jeziora.

Talion, perła Schan, jeszcze przez moment mienił się srebrzyście w blasku księżyca, nieporuszony. Potem dziewczyna rozpruła gładką powierzchnię, wbijając się w nią jak nóż, i znikła.

Wynurzyła się dopiero po dłuższej chwili, równie gwałtownie jak się zanurzyła. Od razu ruszyła w stronę przeciwległego brzegu, rozrywając taflę jeziora ostrymi, pełnymi furii ruchami.

Wokół niej wszystko się kotłowało, bryzgi piany strzelały wysoko w powietrze, woda bielila się i burzyła, tworząc za Verą krótki ślad przypominający ogon komety. Poza tym niewielkim, wzburzonym fragmentem jezioro pozostawało jednak spokojne i niewzruszone.

Kiedy Vera, ociekając wodą, wyszła na brzeg, po jej wściekłości nie było już śladu – zostało tylko wyczerpanie. Z błogim uśmiechem nabrała w płuca nocnego powietrza. Potem ruszyła powoli w górę wąską ścieżką pnącą się na szczyt osuwiska, wyzymając po drodze włosy.

Skupiona na oddechu, krokach i łomotaniu serca, dopiero w połowie drogi zdała sobie sprawę, że słyszy jakieś krzyki. Poderwała głowę, przygarbiła się i rozejrzała czujnie. Miała wrażenie, że dźwięki dochodzą z drugiej strony klifu. Przyspieszyła trochę, potem – nie zważając już na zmęczenie – pobiegła na górę. Znalazłszy się na krawędzi urwiska, dojrzała walczących. Przypadła do ziemi, położyła się na brzuchu i splotła dłonie pod brodą, obserwując rozgrywającą się na dole scenę.

Czterech mężczyzn, trzech na jednego, stojącego pod ścianą. Dyszał tak, że słyszała go aż na górze.

Och, na żywioły, jak szybko się poruszali. Jak brzydko.

Z góry widziała głównie ich szerokie plecy i pochylone głowy. Przykurczone ramiona, pięści na wysokości twarzy. Ciosy – krótkie, konkretne, brutalne, tak silne, że słyszała dźwięk pięści uderzających w ciało – przypominały jej błyskawice na burzowym niebie, tak samo trudno było je dostrzec. I ci mężczyźni, potężni, ciemni, ciężcy jak niosące wodę chmury. Nawet dźwięki wydawali jak burza, rzadkie, warkliwe pomruki. Vera, zupełnie tak samo jak zawsze w czasie burzy, była zachwycona. Serce waliło jej jak młotem, oddech przyspieszył, wbite w walczących oczy błyszcząły.

Nagle któryś krzyknął głośniej, bardziej wściekle – dostał w zęby od tego spod ściany. Zachwiał się, a osaczony mężczyzna wykorzystał to błyskawicznie. Przemknął obok jak cień, wydostając się spomiędzy atakujących, światło księżyca zatańczyło na spoconym grzbiecie, mięśnie zagrały pod skórą, kiedy obrócił się, by chwycić czaszkę przeciwnika. Zacisnął na niej dłonie i trzasnął o kamienną ścianę. Z gardła ofiary dobył się mokry, chrapliwy charkot.

– Chuju! – ryknął ktoś.

Przez chwilę mężczyźni kotłowali się i Vera nie wiedziała, która ręka, która czaszka, które plecy są czyje. A potem coś błysnęło i przez głowę przemknęła jej idiotyczna myśl, że to naprawdę piorun.

Tylko że to był nóż. Bardzo szybko znikł, wbity po rękojesc w plecy jednego z walczących, tego, który był sam.

– Skurwysyny – szepnęła Vera.

Nawet nie zorientowała się, że zdążyła zacisnąć pięści i przycisnąć je do brody, że podniosła się na łokciach i wychyliła za krawędź urwiska, żeby lepiej widzieć.

– Skurwysyny... – powtórzyła z niedowierzaniem.

Mężczyźni dowlekli tego z rozbitą głową do wyciągniętej na brzeg łódki i zabrali się za spychanie jej na wodę.

– Skurwysyny! – tym razem Vera krzyknęła, zrywając się na równe nogi.

Z tej strony klif schodził w dół prawie pionowo i to „prawie” wystarczyło wychowanej w cyrku dziewczynie. Niewiele myśląc, zaczęła z rumorem zsuwać się i zbiegać na brzeg, wzbijając tumany pyłu. W pewnym momencie

po prostu odbiła się od skalnej ściany i wylądowała na plaży, tuż obok zranionego mężczyzny. Schyliła się, chwyciła w biegu jakiś kamień i pomknęła w stronę jeziora – prawie nagi, rozwścieczony demon o poznaconej białymi smugami rozmazanego scenicznego makijażu twarzy. Nic dziwnego, że wiosłowali szybko.

– Tchórze! – krzyknęła z wściekłością, miotając zaimprovizowany pocisk w ich stronę. – Śmierdzące tchórze!

\*

– Ścierwa...!

Nie to Sore spodziewał się usłyszeć po śmierci. Mimo wszystko.

– Szuje...!

Może słusznie. Bo chyba wciąż żył. Jeszcze.

Trudno mu było zorientować się, skąd dochodzi dźwięk. Jeszcze trudniej obrócić głowę w tamtą stronę. Zakaszłał gwałtownie.

Miał wrażenie, że postać stoi w wodzie, ale nie był pewien, świat skrył się za mgłą i z każdą chwilą przesłaniało go coraz więcej coraz większych, wirujących, czarnych plam. Zresztą nie to, gdzie w tym momencie stał ten człowiek, było ważne. Ważne, że był. I wrzeszczał. Do odpływającej łódki.

Podczas gdy Sore się wykrwawiał.

Nabrał powietrza – niewystarczająco ostrożnie, spróbował powstrzymać kolejny atak kaszlu, ale mu się nie udało.

Jeszcze raz. Z obawą przełknął ślinę. Musiał, przez wyschnięte gardło nie dałby rady nic wykrztusić. A potem podjął ostatni – był tego pewien, wiedział, że na nic więcej nie będzie go stać – wysiłek.

Nie spieszył się, mówił wolno i wyraźnie. Spokojnie. Sprawa była zbyt istotna, by się z nią spieszyć.

– Przestań krzyczeć. I pomóż mi.

Potem, tak jak się spodziewał, zapadła ciemność. I cisza. Obie przyjął z ulgą.

\*

Wracił do rzeczywistości powoli. Najpierw jakieś splątane, niewyraźne sny, krew na rękach, dłonie o zbyt dużej liczbie powyginanych palców, dźwięki nie wiadomo skąd, ruch i uczucie, które nie powinno mu towarzyszyć, coś przesuwającego się po nagim przeciw ramieniu.

Wolałby się nie budzić, więc przez chwilę leżał, nie otwierając oczu. Słyszał jakieś rozmowy, których sensu nawet nie starał się uchwycić, stukanie, chyba młotka, śmiechy, rżenie koni, szczęk żelaza, przenikliwe dźwięki jakiejś piszczałki. Z tego osobliwego gwaru wyczulone ucho mężczyzny wyłowiło nagle dźwięk niemożliwy do pomylenia z żadnym innym, dźwięk noża, wbijającego się... chyba w drewno. Stanowcze, głuche stuknięcie.

Otworzył oczy.

Na podłodze malował się ostry, wyraźny prostokąt słonecznego światła, wpadającego do pomieszczenia przez otwarte drzwi. Światła, wpadający przez drzwi pomieszczenia, był ostry i wyraźny. Samo zaś

pomieszczenie – niewiarygodnie małe, wąskie i długie, czerwono-zielone. Poza drugim posłaniem i wypełnioną jakimś żelastwem pociętą misą, stojącą na sporej skrzyni pod przeciwległą ścianą, nie było w nim nic.

Sore ocenił, że znajduje się w jakimś wozie. Sore dojrzał jasnoskórą dziewczynę, która siedziała przy wejściu, zszywając jakąś jadowicie niebieską, błyszczącą miejscami szmatę.

A więc obozowisko cyrkowe. Mógł trafić gorzej.

Poruszył się ostrożnie. Pamiętał już, co się stało, zanim stracił przytomność, więc przygotował się na ból, ale niepotrzebnie. Albo pamięć płatała mu figle, albo znaleźli jakiegoś Przewodnika, żeby go poskładał. A skoro tak, to mógł spróbować usiąść... A potem wstać i podejść do drzwi.

Stanął w nich na chwilę, opierając się barkiem o futrynę i mrużąc oczy. Przysłonił je dłonią i uważnie zlustrował otoczenie.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Kolorowe wozy stały bezładnie pośród drzew, a pomiędzy nimi panował chaos. Jakiś mężczyzna próbował zmusić ogromnego, wyleniałego tygrysa do przeskoczenia przez trzymaną w górze obręcz – zwierzę wyraźnie nie miało na to ochoty. Pomiedzy pniami rozpięto linę, po której powoli, ostrożnie, z rękami wyciągniętymi na boki przechodziła najwyżej dziesięcioletnia dziewczynka. Ktoś żonglował zgaszonymi pochodniami. Nad rozpalonym mniej więcej na środku obozu ogniskiem coś gotowano.

Dźwięki piszczałki zdawały się coraz żywsze. Jakaś para kłóciła się w drugim końcu obozowiska, a biała



dziewczyna, zszywająca sukienkę na progu wozu, patrzyła prosto na niego.

– Vera! – zawołała, odwracając głowę, nim zdołał podchwycić jej spojrzenie. – Twój kochaś się obudził!

Nóż śmignął w powietrzu, nim ktokolwiek zdążył zareagować, i wbił się we framugę, nie dalej niż o szerokość dłoni od twarzy jasnowłosej dziewczyny.

– To nie jest mój kochaś! – odezwał się ktoś wściekłym głosem, który Sore pamiętał. Ciężko zapomnieć coś takiego.

Blondynka zerwała się na równe nogi.

– Oszalałaś?!

– Mówiłam ci, żebyś przestała go tak nazywać.

Dziewczyna wyłoniła się z za niebiesko-żółtego wozu. Nie widział jej twarzy, była bokiem do niego i burza czarnych, kędzierzawych włosów skutecznie utrudniała obserwację, ale to nie na twarz Sore patrzył, kiedy chciał się czegoś dowiedzieć o człowieku. Nie zwracał również większej uwagi na sylwetkę, choć w tym wypadku odnotował, że jest całkiem ponętna: szerokie biodra, ciężkie, kojarzące się z dojrzałymi owocami piersi i długie nogi. Rzeczą, na którą Sore zawsze zwracał uwagę, był sposób poruszania się. Vera zmierzała w stronę noża miękkim, sprężystym krokiem, z wdziękiem i pewnością osoby całkowicie świadomej swojego ciała i jego możliwości.

– Mogłaś mnie zabić! – zawołała jasnoskóra kobieta z wściekłością.

– Raczej nie. Rzucam już całkiem nieźle, najwyżej rozharatałabym ci buzię.

– Jesteś skończoną idiotką – stwierdziła, schylając się po upuszczony kostium.

Vera postąpiła krok w jej stronę.

– Sama jesteś idiotka!

Kobieta podniosła sukienkę i strzepnęła, przyglądając się jej ze zmarszczonymi brwiami, po czym spojrzała na Verę ze znudzoną miną.

– Chyba miałaś się czymś zająć, prawda? To coś, przypominam, obudziło się, stoi w drzwiach waszego wozu. Ta scena na pewno zrobiła na nim duże wrażenie, ale jeśli jeszcze ją przeciągniesz, będzie nudna.

Wtedy zobaczył jej twarz. Nigdy nie widział tak pałających oczu. Cała reszta właściwie straciła na znaczeniu – dziewczyna mogła mieć jakieś tam rysy twarzy, włosy, ręce, nogi, ale ostatecznie liczyły się tylko te gorejące wściekłością, ciemne oczy. To one nadawały ton wszystkiemu innemu.

– Jestem... – zaczęła agresywnie i urwała, nabierając powietrza, chyba po to, by się uspokoić. – Vera. Uratowałam ci skórę.

– Sore – przedstawił się. – Dziękuję.

Uśmiechnęła się, odrzucając błyszczące kędziory do tyłu.

– Nie ma sprawy. Chodź, zapoznam cię z ludźmi, skoro już wstałeś. No i Ief pewnie będzie chciał z tobą gadać.

Ief w istocie chciał z nim gadać – głównie o kwocie, jaką cyrk wyłożył na Przewodnika, który wybawił Sorego od niechybnej śmierci, i o tym, że oczywiście nie jest w stanie powstrzymać najemnika od oddalenia się, kiedy tylko dotrą do jakiejś ludzkiej siedziby, ale elementarna

przyzwoitość – o zwyczaju nie wspominając – wymagały, żeby Sore został, żeby odpracować dług. Chyba że miał zamiar ściągnąć na cyrk kłopoty. W takim wypadku elementarna przyzwoitość nakazywałały co innego.

Sore nie musiał się szczególnie wysilać, żeby zrozumieć pytanie zakamuflowane w tej ostatniej uwadze, i z czystym sumieniem zapewnił rozmówcę, że nie, nic się nie będzie za nim ciągnęło, to był zwykły anonimowy rabunek.

Został więc w cyrku, jakkolwiek to nie przyzwoitość – o zwyczaju nie wspominając – była głównym powodem.

\*

Każdy ruch wywodziła ze splątanych w misterne, zmienne konstrukcje nadgarstków i dłoni. Każdy zatoczony ramionami łuk, każdy obrót, wyrzut i skok. Tam, w centrum, wszystko było delikatne i precyzyjne.

Tylko tam, i tylko dlatego, że nie musiała o tym myśleć.

Choć u podstaw jej ruchów leżała ażurowa plecionka drobnych kości i ścięgien, ostateczny efekt miał niewiele wspólnego z delikatnością. Spocona, ciemna skóra, napięte mięśnie, rozkołysane biodra i piersi, lśniące włosy, sprawiające wrażenie, jakby każde ze skręconych w sprężyny pasm żyło własnym życiem, czarne, jarzące się odbitym blaskiem płomieni oczy. Huk ognia, furkot długiej, rozciętej spódnicy.

Płonące sznury wirowały wokół dziewczyny, posłuszne jej woli rysowały w powietrzu świetliste kręgi, iskry

z ogniska, przy którym tańczyła, strzelały w górę, bębniarze gubili rytm, Ralf piskliwie fałszował na fujarce, ktoś inny zarzynał skrzypce, Aga całowała się z którymś z akrobatów, Paz wpatrywał się ponuro w ogień, matka Very śpiewała coś ochryple, ktoś kogoś szukał, a dziewczyna tańczyła, nie gubiła kroku, bosymi stopami wybijała na twardym podłożu rytm, błyskała wyszczerzonymi zębami i zahipnotyzowanym, hipnotyzującym wzrokiem wpatrywała się w ogień.

I w Sorego.

Mogła go zlokalizować po błysku noża, którym bawił się odruchowo, podrzucając i obracając ostrze między palcami, ale siedział za daleko, by mogła dojrzeć twarz.

A jednak za każdym razem, kiedy Verze udało się oderwać spojrzenie od płomieni, oczy dziewczyny zdawały się przewiercać ciemność i patrzeć wprost na niego. W miarę jak tańczyła, działo się to coraz częściej i trwało coraz dłużej. Jej ciało obracało się i prężyło w blasku ognia, plecy wyginały się w łuk, by po chwili zwiotczeć i zgarbić się, ramiona gwałtownie wystrzeliwały w górę i opadały, dłonie spletały się, stopy wyrysowywały w piasku półkoła, ale oczy pozostawały wbite w człowieka opartego plecami o pozostające tuż poza zasięgiem światła drzewo, zmęczonego mężczyznę, między palcami którego wirowało ostrze noża.

Kiedy ogień zgasł po raz trzeci, schował broń, podniósł się i podszedł do dziewczyny. I tak nie miała już paliwa, by nasaczyć liny – choć to akurat odkryła dopiero wtedy, gdy za nią stanął. Tak przynajmniej wnioskował z gniewnego przekleństwa, które wymamrotała pod

nosem, nachylając się nad stojącą na ziemi butelką, tuż przed tym, jak położył rękę na nagim, spoconym ramieniu. Zamarła na chwilę, a potem wyprostowała się powoli i obróciła z szerokim uśmiechem.

– No wreszcie – wydyszała.

\*

Verze było za tym pierwszym razem strasznie niewygodnie. Jakiś korzeń wbijał się jej w plecy, trawa była mokra i ostra, coś ugryzło ją w łydkę i ogólnie wcale nie było tak wspaniale, jak myślała, że będzie. W zasadzie pod koniec zrobiło się trochę głupio, chociaż rozbieranie było całkiem przyjemne, te ręce, jego i jej, tu i tam, myślała, że oszaleje, ale w taki dobry sposób. No i całował, całował naprawdę dobrze, tylko ten korzeń i bąbel na nodze.

Poza tym bolało trochę, no ale to nie było coś, co by przeszkadzało wychowanej w cyrku dziewczynie, i do tego siffango.

Och, kogo obchodził korzeń? Albo łydka? Chociaż paprało się to ugryzienie chyba przez dwa tygodnie. Obudziła się potem o świcie, zziębnięta, naga, trochę skacowana, popatrzyła na leżącego obok mężczyznę, też nagusieńkiego, czarnoskórego, całego z mięśni, i poczuła radość. Ale nie jak zawsze, nie w kręgosłupie i w płucach, nie lekką, uderzającą do głowy, żeby zaraz wyparować. Ta była głębiej, niżej, w trzewiach, rozlała się najpierw na boki, dopiero potem leniwie ruszyła dalej, jak płynna stal wypełniająca formę. Po raz pierwszy od niepamiętnych

czasów poczuła spokój, jak ręce na barkach: tutaj. Teraz. Jest dobrze.

Miała go. Miała mężczyznę, którego pragnęła, a on miał ją.

Potrzebowała mniej więcej godziny, żeby zorientować się, co się z tym wiąże.

Usiadła, przerażona, złapała go za ramię i potrząsnęła.

– Musisz mi coś obiecać – oświadczyła stanowczo, kiedy udało mu się zogniskować na niej wzrok.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Kobiety.

– Sore!

Coś w jej głosie sprawiło, że spoważniał.

– Dobrze. Co takiego?

– Nie będziesz oglądał naszych treningów.

Mężczyzna popatrzył na nią ze zdziwieniem. Nigdy dotąd nie widział ćwiczących siffango, zwykle oddalali się w las, potrzebowali sporo przestrzeni, więcej niż mogło zaoferować obozowisko.

– Dobrze.

– I moje rekwizyty. Moja broń. Nie dotykaj ich, nigdy. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. – Zamilkł na moment, rozważając następne słowa. – Chcesz, żebym przysiągł?

Wzdrygnęła się, otworzyła szerzej oczy. Przysięga żywiołów to była naprawdę poważna sprawa, śmiertelnie poważna. A jednak zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Nie. Wystarczy mi twoje słowo.

Sore uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie.

– To dobrze.

I przez jakiś czas wydawało się, że jest dobrze. Spokój, który Vera poczuła wtedy o świcie, zniknął wprawdzie – ale coś po sobie zostawił, i to coś rosło powoli, niezauważalnie zmieniając wszystko, czym była i co robiła, dodając do tego jakiś nowy wymiar, tło, dzięki któremu to wszystko było prawdziwsze i pełniejsze. Jakby wreszcie stawała się tym, kim zawsze miała być, kimś, o kim zapomniała po drodze.

Trwało to mniej więcej dwa miesiące. A po tych dwóch miesiącach przyszła do niego tak, jak jej się to czasem zdarzało, nic nie mówiąc. Vera często nie musiała nic mówić, wystarczyło rzucić okiem, by wiedzieć, że jest głęboko nieszczęśliwa. Siedział akurat przed wozem, chyba coś naprawiał, nie pamiętał potem. Wzięła go za rękę, zaciągnęła do środka. Położyli się na posłaniu, ona z głową na jego piersi.

Długo nic nie mówiła. Zaciskała usta, czasem przewracała się na plecy, czasem na brzuch, czasem nawet siadała, kilka razy niemal wstała, ale przez cały czas dotykała Sorego, nie chcąc zrywać kontaktu.

Na samym początku, kiedy robiła takie rzeczy, próbował się odzywać. Co ci się dzieje, Vera, czego ci trzeba? Tylko potrząsała głową, tak że sprężyste loki latały na wszystkie strony. Nie wiedziała.

Czasem płakała z bezsilności i tłukła pięściami w posłanie. Czasem w niego i musiał ją wtedy powstrzymywać, łapać jej ręce w powietrzu, i całe szczęście, że biła wtedy na oślep, bo inaczej mógłby sobie nie poradzić. Była

przecież siffango i była dobra. Może nie w występach, to przyznawał z bólem, ale wszędzie poza areną była dobra.

I lubiła to, kochała, widział to po niej.

Widział, w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych, którzy również widzieli i dziwili się humorom Very. On nie dziwił się wcale. Miłość to nie była łatwa i przyjemna sprawa. Coś o tym wiedział, w końcu kochał tę szamoczącą się bez sensu, niewiedzącą, czego chce, sfrustrowaną wariatkę.

I martwił się o nią, kiedy się tak szarpała i płakała. Tak naprawdę nigdy nie przestał pytać, czego jej brakuje, co jest nie tak. Po prostu już nie robił tego na głos, bo nie było sensu.

– Będę miała mniej czasu – wymamrotała w końcu.

Skinął głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości. Nie powiedział, że dobrze, ani że w porządku, gdyby powiedział, wściekłaby się i wypadła z wozu. Miałaby zresztą rację, bo „dobrze” ani „w porządku” najwyraźniej nie było.

– W stolicy mamy wyjść w piątkę. Ja, mama, tata, Atia i Paz. Wiesz... To nie był nasz najlepszy sezon.

– Tak słyszałem.

– Właściwie to był fatalny.

– To też słyszałem.

Pokręciła głową, zagryzając wargi i patrząc w sufit.

– Zawsze o tym marzyłam – powiedziała gorzko. – Żeby wreszcie wejść na scenę i zacząć walczyć. Przez cały czas się wściekałam, że robię tylko akrobacje, że wciąż ćwiczę z atrapami. I co? Dostałam, co chciałam, Atia zaszła, zaczęłam występować i wszystko spieprzyłam. Jak



spieprzę jeszcze to... My się nigdy nie odkujemy, jak nie odpalimy teraz czegoś wielkiego. Nigdy.

– To będzie wielkie – odparł Sore z niezachwianą pewnością, bo taka była przecież jego rola.

– Myślisz?

Skinął głową.

– Znam cię, Vera. Masz duszę wojownika, wiem coś o tym, i ciało wojownika, o tym też co nieco wiem. Może po prostu nie jesteś stworzona do pojedynków, przecież zawsze występujesz z jednym partnerem. Kiedy ludzi jest więcej, energia jest zupełnie inna. Myślę, że kiedy będziecie walczyć w piątkę, wszyscy razem, łatwiej będzie ci się odnaleźć.

Patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu.

– Sore... och, Sore – wyszeptwała, a potem wybuchła płaczem.

Następnego dnia został sam.

Nie rzuciła go, nic z tych rzeczy. Po prostu większość czasu spędzała teraz z rodziną, nawet w podróży, a kiedy tylko się zatrzymywali, cała piątka znikła na trening, ciężko było nawet powiedzieć, kiedy i jak. Dziewczyna pojawiała się właściwie tylko w nocy, i Soremu pozostało odczytywać sytuację z jej nastrojów – co nie było trudne.

Bywała radosna. Czasem wracała, prawie tańcząc, rozpromieniona, szeroko uśmiechnięta, zmęczona, ale szczęśliwa, jak to się mówi, i kazała się całować, bo inaczej wszystko mu opowie, a przecież nie może.

Częściej wracała przygnębiona, wściekła i smutna – głównie wściekła, Vera wszystkie złe uczucia przekuwała

w gniew – i wtedy też kazała się całować, bo inaczej wszystko mu opowie, a przecież nie może. Później, kiedy myślała, że Sore już śpi, szlochała z dłońmi przyciśniętymi do ust, czasem wymykała się z wozu, żeby biegać i tłuc pięściami powietrze.

Była wtedy zachwycająca i ukryty w mroku Sore nie potrafił zrozumieć, dlaczego walka na arenie idzie jej o tyle gorzej. To nie było przecież tak, że Vera nie lubiła, jak się na nią zwracało uwagę, jak się ją podziwiała. Przeciwnie, uwielbiała się popisywać, była w tym jak dziecko.

Nie miał jednak wątpliwości, gdzie leży źródło problemów – tam, gdzie zakazała mu chodzić, na co nie wolno mu było patrzeć. Ale nie miał zamiaru łamać danego jej słowa. Dlatego zrobił to, co robi większość mężczyzn, którzy nie wiedzą, jak sobie poradzić z kobietą. Postanowił dać jej prezent.

Vera kochała kwiaty, spośród kwiatów najbardziej kochała lilie, a spośród lilii najbardziej kochała te, które zostawiono, żeby rosły w spokoju zamiast je zrywać – chyba że akurat miała kaprys włożyć sobie jakąś za ucho. Sore bardzo lubił takie kaprysy. Któregoś razu, zanim zaczęli się kochać, ostrożnie wyplątał kwiat z ciemnej gęstwiny jej włosów i zachował. Była trochę zdziwiona, bo żadne z nich nie miało skłonności do tego typu niepraktycznych gestów. Nie mieli w nich też wprawy, więc wcale się nie dziwiła, kiedy ozdoba zaginęła.

Tylko że nie zaginęła, Sore wziął z niej po prostu to, czego potrzebował, a resztę wyrzucił.

Kilka tygodni później zatrzymali się w wiosce nieopodal klifu, przy którym prawie zginął. Oboje lubili to

miejsce, więc ją tam zabrał. Był wieczór, słońce zachodziło, więc las, piasek, ich twarze, wszystko nabrało pomarańczowo-złotego odcienia. Sore sięgnął do sakwy, którą zabrał ze sobą, i wyciągnął z niej skórzane zawiniątko.

– Mam coś dla ciebie – oświadczył, podając dziewczynie przedmiot. – Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Dawanie Verze prezentów było cudowną czynnością, bo rozpromieniała się dokładnie tak samo, jak się wściekała – cała, w jednej chwili i do ostatniego kawałka. Rozpromieniła się więc i rozwinęła pakunek.

Lilie miały smukłe liście przypominające ostrza, a ponieważ o wiele łatwiej było pokazać kowalowi kształt, o który chodziło, niż go opisać, noże ofiarowane dziewczynie w prezencie miały smukłe ostrza przypominające liście lilii. Ciemne, wypolerowane na błysk diogorskie żelazo zdawało się chwytać promienie słońca w pułapkę, kumulować gdzieś w środku, w niewidzialnym rdzeniu, łodydze. Miało się wrażenie, że broń wibruje od wewnętrznej energii, zupełnie jak jej właścicielka. Rękojeści z twardego drewna owinięto rzemieniem dla lepszego chwytu, tak drewno, jak skóra mocno pachniały olejem. Na pochwach wytłoczono lilie.

Jednym słowem, noże były piękne.

Wypadły jej z rąk, kiedy przycisnęła dłonie do ust. Popatrzyła na broń. Na Sorego. Znów na nie. Znów na niego. I wiedział, że coś jest nie tak. Że gdzieś popełnił błąd. Naprawiłby go, naprawiłby, gdyby dała mu szansę.

Ale nie dała. Odwróciła się i odbiegła.

Chwyciło go nagle, ścisnęło za gardło – zawód, smutek i żal, w takim zestawieniu, jakie można poczuć tylko

wtedy, kiedy zrani się kogoś czymś, co miało mu sprawić radość.

Niżej, w przeponie, pod mostkiem, żarzyła się wściekłość.

Talion lśnił w promieniach zachodzącego słońca, drzewa szumiały cicho na wietrze, świat trwał bezlitośnie niewzruszony, a mężczyzna próbował przyswoić myśl, że to koniec. Że dłużej nie może tak być, a ponieważ nie może być inaczej, to nie będzie w ogóle.

Schylił się błyskawicznie – dawno nie poruszał się tak szybko, dawno nie musiał, dawno nie walczył – podniósł lilie, obrócił się i cisnął pierwszą z nich przed siebie, prosto w wodę.

Ktoś wykręcił mu rękę z drugim ostrzem, odepchnął gwałtownie do tyłu, tak że niemal przewrócił się na piach. Zauważył tylko chmurę czarnych włosów, a potem, kiedy złapał równowagę, sylwetkę Very, kiedy wbijała się w wodę.

Długo nie wypływała, na tyle długo, że Sore poczuł budzącą się w nim panikę. Nim jednak zdążył zrobić coś głupiego, siffango wynurzyła się gwałtownie. W kilka chwil była przy brzegu. Kiedy wbiegała po stromej ścieżce pnącej się po zboczu klifu, zauważył, że nim rzuciła się w wodę, upuściła coś.

Swoje sceniczne noże.

Nie tknął ich.

– Coś ty zrobił?! – zawołała, stojąc przed nim, zdyszana, ociekająca wodą, w przemoczonym ubraniu. – Jak mogłeś?!

– Są twoje. Jeśli ich nie chcesz, nie ma sensu, żeby w ogóle były.

– Nie chcę? – jęknęła. – Sore, ja... są wspaniałe. One... to jest... naj... – Potrząsnęła głową. – Tylko że muszę ci coś pokazać.

Nigdy jeszcze nie widział jej tak nieszczęśliwej i tak przerażonej, ale nigdy też nie widział na jej twarzy takiej determinacji. Odwróciła się, schyliła, podniosła z ziemi noże, te, których nie wolno mu było dotykać, i wyciągnęła w jego stronę.

– Śmiało – wydusiła. – Weź je.

Wziął. Były lekkie.

Były drewniane.

Spojrzał na nią pytająco, ale nie miała szans zauważyć tego spojrzenia. Stała przed nim ze wzrokiem wbitym w ziemię, ze łzami spływającymi po policzkach, zawstydzona do granic możliwości. Cofnęła się o krok.

– Dlatego nie chciałam, żebyś ich dotykał. Nie chciałam, żebyś wiedział. Nie chciałam po prostu... żebyś mnie zostawił. Przepraszam. Nie wyrzucaj lilii, są piękne, są dla kogoś innego niż ja, ale są piękne.

Znów się cofnęła.

– Przepraszam.

Sore poznał Verę na tyle, że zdążył chwycić ją za ramię, zanim się odwróciła i znów uciekła.

– Są dla ciebie. Drewniane też zrobimy. I nie zostawię cię.

– Nie?

– Nie. Ale mam prośbę.

Patrzyła na niego z obawą, i słusznie.

– Naucz mnie. Chcę z tobą występować.

Wyrwała się gwałtownie, wykrzyczała, że Sore nic nie rozumie i zostawiła go. Żadnej innej reakcji się nie spodziewał. Zebrał dwa komplety noży i ruszył w stronę obozowiska, spokojny, pewny, że Vera się zgodzi. Złamie jej to serce, ale się zgodzi.

Swego czasu Sore w bardzo bolesny sposób nauczył się, że źle zrosnięte rzeczy trzeba łamać na nowo i dopiero potem składać. Zadziałało na jego piszczel, powinno zadziałać i naserce.

\*

Pokaz dobiegł końca. Piątka siffango stanęła na środku areny. Przez chwilę panowała cisza. Potem rozległy się entuzjastyczne oklaski. Pięcioro siffango w jednym numerze to było coś, czego jeszcze nie widziano, nawet w stolicy.

Mimo to Ief patrzył na scenę z miną zaciętą i ponurą. Publiczność była zadowolona, ale to nie była ekstaza, która mogła uratować cyrk, sprawić, by jego przyjazd został w każdym miejscu Schan uznany za święto. Ludzie rozejdą się zadowoleni, porozmawiają z jednym czy drugim o tym, co widzieli, i zapomną. Albo gorzej, zorientują się, że poza piątką siffango w tym pokazie nie było nic szczególnie ciekawego.

Ief wiedział, kogo za to winić. Wszyscy wiedzieli.

Nie było sensu. Skończyło się, po wyjeździe ze stolicy trzeba będzie rozdzielić pieniądze, rozpuścić trupę i tyle. Poradzą sobie. Byli profesjonalistami, po prostu

gwóźdź programu nie grał. Może zejść się kiedyś bez niej. A może nie. Raczej nie.

Głupia, leniwa suka. Ief czuł gniew, swój i całej trupy, wszystkich ludzi, którzy stali za nim, czekając na znak, żeby wyjść i się ukłonić. Gniew, żal i nienawiść.

Wystarczyła iskra, żeby emocje wyrwały się spod kontroli, Ief nie wiedział, co to było. Rozległ się krzyk. Coś w coś uderzyło.

Ktoś przemknął obok Iefa, cień o wyszczerzonych zębach, płonących żądzą mordy oczach.

Sore. Sore, którego Vera porzuciła miesiąc wcześniej, a który mimo to został w cyrku, bo się przywiązał. Sore, z którym nawet nie rozmawiała, na którego nawet się nie darła, i który cierpiał z tego powodu katusze.

Oklaski urwały się, publika wstrzymała oddech, kiedy mężczyzna z rykiem wpadł w równy szereg siffango i przerwał go, przewracając Verę na ziemię. Przetoczyli się po arenie, równocześnie poderwali na nogi.

Mężczyzna wyciągnął miecz, powietrze zaświszczało, kiedy zakręcił nim młynka. Rzucił jej coś pod nogi. Noże. Oboje odwrócili głowy w stronę rodziny Very, właśnie otrząsającej się z zaskoczenia.

– Won – polecili.

Ief nie miał pojęcia, kto dał znak, by akrobaci splunęli ogniem. Podejrzewał Agę.

Nikt nie potrafił potem opisać tego, co działo się na arenie. Było dwoje ludzi, to na pewno, dwa ciała, trzy ostrza. Były mordercze ciosy, chybiające o włos. Był blask ognia, igrający na broni, która poruszała się tak szybko, że miało się wrażenie, że Vera i Sore walczą wśród iskier.

Były bliźniacze odruchy, jak wtedy gdy minęli się w identycznych obrotach, plecy w plecy, lśniąca od potu skóra ocierająca się o lśniącą od potu skórę.

Był moment, w którym Vera rozpaczliwie walczyła o życie, próbując zwiększyć dystans, zdobyć choć skrawek przestrzeni. W końcu uciekła na podest, ale i tam dopadł ją w mgnieniu oka. Przez chwilę walczyli w zwarciu i dziewczyna była czystą furią. Tym razem to Sore musiał ratować się ucieczką, chwycił linę i odbił się od podestu, by przelecieć na następny.

Vera, niewiele myśląc, cofnęła się, wzięła rozbieg i skoczyła w jego stronę. Ief krzyknął. Nie było chyba w cyrku człowieka, który by nie krzyknął, poza Verą i Sorem.

Mężczyzna złapał siffango w locie i przyciągnął do siebie. Oplotła go w pasie nogami, odchyliła się ze śmiechem, rozłożyła ręce, wypuściła broń. Noże wbiły się w piach.

Opuścili się na ziemię, ukłonili, pocałowali.

A przeklinający na czym świat stoi Ief dostał wreszcie oklaski, o które mu chodziło.

\*

Tym razem nie wydawało się, że jest dobrze. Tym razem po prostu dobrze było. Przez pewien czas. Na tyle długi, że szło się przyzwyczać, więc przyzwyczailli się, oczywiście.

Występowali tylko we dwoje, a Vera zabroniła całemu cyrkowi z Iefem na czele oglądać ich treningi, tak jak zabroniła kiedyś Soremu. Nie tylko dlatego, że każdy dotyk



*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

